

Wojna, wojna, tylko wojna

10 czerwca 2022

Stan wojny permanentnej, w którą amerykańscy politycy wpędzili Stany Zjednoczone, kanibalizuje kraj i społeczeństwo.

Dziś, gdy w amerykańskiej polityce wszystko obraca się wokół tej czy innej wojny, każda militarna klęska to nic innego, jak kolejny gwóźdź do trumny Pax Americana.

Stany Zjednoczone, jak pokazuje niemal jednomyślne głosowanie za udzieleniem Ukrainie „pomocy” w wysokości prawie 40 miliardów dolarów, znajdują się w pułapce niekontrolowanego militarizmu. Nie ma w USA sieci szybkich kolei. Brak jest powszechnej opieki zdrowotnej, o realnym wsparciu dla poszkodowanych przez pandemię nie ma nawet sensu wspominać. Programów antyinflacyjnych, które mogłyby nieco ulżyć społeczeństwu również nie ma, a inflacja osiągnęła wszak już ponad 8 proc. Brak choćby propozycji programów infrastrukturalnych – niszczące drogi i mosty, które wymagają 41,8 miliarda dolarów na naprawę 43 586 uszkodzonych przepraw; każda z nich została wybudowana średnio 68 lat temu. Nie umorzono 1,7 biliona dolarów długu studenckiego. Nierówności społeczne narastają w rekordowym tempie. Nie ma także programu dożywiania 17 milionów dzieci, które każdej nocy kładą się spać głodne w najbogatszym państwie na świecie. Nie ma mechanizmów kontroli dostępu do broni lub ograniczenia epidemii wstrząsającej przemocy i masowych strzelanin. Nikt nie pomaga 100 tys. Amerykanów, którzy co roku umierają z powodu przedawkowania leków lub narkotyków. Nie ustanowiono płacy minimalnej w wysokości 15 dolarów za godzinę, która przeciwdziałałaby rozwijającej się od 44 lat stagnacji płacowej. Jednocześnie cena benzyny dochodzi do 6 dolarów za galon.

Od zakończenia II wojny światowej gospodarka USA to wciąż głównie machina wojenna. To właśnie ona zniszczyła sektor

prywatny drobnego i średniego szczebla, doprowadziła do faktycznego bankructwa państwa i roztrwoniła biliony publicznych pieniędzy. Swoista monopolizacja kapitału przez wojsko wygenerowała gigantyczny dług Stanów Zjednoczonych, który wynosi obecnie 30 bilionów dolarów, czyli o 6 bilionów dolarów więcej niż PKB Stanów Zjednoczonych. Obsługa tego długu kosztuje 300 miliardów dolarów rocznie. W cyklu fiskalnym, który kończy się w 2023 roku, już wydaliśmy ponad 813 miliardów dolarów na zbrojenia. To więcej niż dziewięć następnych krajów w tym rankingu, w tym Chiny i Rosja, razem wziętych.

Ten militarizm kosztuje nas krocie. Koszty społeczne, polityczne i ekonomiczne stają się powoli niepoliczalne. Waszyngton biernie przygląda się, jak Stany Zjednoczone gniją moralnie, politycznie, gospodarczo i pod każdym innym względem, podczas gdy Chiny, Rosja, Arabia Saudyjska, Indie i inne kraje uwalniają się spod tyranii dolara amerykańskiego i międzynarodowego systemu SWIFT. Gdy dolar amerykański przestanie być światową walutą rezerwową, gdy umocnią się alternatywy dla SWIFT-u, spowoduje to wewnętrzne załamanie gospodarcze w USA, które prawdopodobnie wymusi gwałtowne skurczenie się imperium amerykańskiego i zamknięcie większości z prawie 800 baz wojskowych ulokowanych na całym świecie. Będzie to ostateczny zwiastun śmierci Pax Americana.

Demokrata czy republikanin, to nie ma dziś żadnego znaczenia. Wojna jest racją stanu państwa. Prawie 40 miliardów dolarów przeznaczonych na dozbrajanie Ukrainy, z których większość trafia w ręce producentów broni, takich jak Raytheon Technologies, General Dynamics, Northrop Grumman, BAE Systems, Lockheed Martin i Boeing, to dopiero początek. Stratedzy wojskowi, którzy twierdzą, że wojna będzie długa, przebąkują już o przekazywaniu Ukrainie pomocy wojskowej w wysokości 4 lub 5 miliardów dolarów miesięcznie! Stoimy wprawdzie w obliczu zagrożeń egzystencjalnych, ale to się nie liczy. Proponowany budżet Centrum Kontroli i Prewencji Chorób (CDC)

na rok fiskalny 2023 wynosi 10,675 miliarda dolarów. Proponowany budżet Agencji Ochrony Środowiska (EPA) wynosi 11,881 miliarda dolarów. Sama Ukraina otrzyma ponad dwa razy tyle! Pandemie i zagrożenia klimatyczne to jednak dla rządzących w USA kwestie poboczne. Liczy się tylko wojna.

To jest recepta na zbiorowe samobójstwo.

Kiedyś, pędzącej dziś na oślep amerykańskiej machinie wojennej, próbowano się jednak przeciwstawiać. Najważniejszym spośród trzech bodaj czynników, które stanowiły takie częściowe blokady było stare, autentycznie liberalne skrzydło Partii Demokratycznej, kierowane przez takich polityków, jak senatorowie George McGovern, Eugene McCarthy czy J. William Fulbright; ten ostatni napisał książkę pt. „The Pentagon Propaganda Machine”. Dziś samozwańczy postępowcy w amerykańskim Kongresie to żałosna mniejszość. Począwszy od Barbary Lee, która jako jedyny głos w parlamencie sprzeciwiła się nieograniczonej sankcji prawnej pozwalającej prezydentowi na prowadzenie wojny w dowolnym miejscu na świecie, a skończywszy na Ilhan Omar, wszyscy entuzjastycznie popierają najnowszą proxy wojnę, tę na Ukrainie.

Drugim czynnikiem powstrzymującym były niezależne media i środowiska akademickie, w tym dziennikarze tacy jak I.F. Stone i Neil Sheehan oraz naukowcy tacy jak Seymour Melman, autor książek „The Permanent War Economy” i „Pentagon Capitalism: The Political Economy of War”. Po trzecie, i być może najważniejsze, był to zorganizowany ruch antywojenny, kierowany przez przywódców religijnych, takich jak Dorothy Day, Martin Luther King Jr. oraz Phil i Dan Berrigan, a także organizacje takie jak Studenci na rzecz Demokratycznego Społeczeństwa (SDS).

Żadna z tych sił opozycyjnych, które, pomimo wielkich starań, nie obaliły gospodarki opartej na wojnie (choć ograniczyły jej ekstrawagancję), obecnie nie istnieje. Dwie rządzące partie zostały zwyczajnie kupione przez korporacje, zwłaszcza przez

producentów broni. Dziennikarze zaś są posłuszni i nieprzekorni. Propagandziści permanentnej wojny zaś, wywodzący się głównie z prawicowych think-tanków hojnie finansowanych przez przemysł wojenny, są jedynymi dostępnymi dziś w mediach „ekspertami”. Popularna audycja stacji telewizyjnej NBC pt. „Meet the Press” zaprosiła 13 maja przedstawicieli organizacji Center for a New American Security (CNAS), by przeprowadzili publiczną symulację potencjalnej wojny z Chinami o Tajwan. Współzałożycielka CNAS, Michèle Flournoy, która wystąpiła w programie i była brana pod uwagę przez Bidena jako kandydatka na Sekretarza Obrony, napisała w Foreign Affairs dwa lata temu, że Stany Zjednoczone muszą uzyskać „zdolność do demonstracji wiarygodnej groźby zatopienia wszystkich chińskich okrętów wojсковych, łodzi podwodnych i statków handlowych na Morzu Południowochińskim w ciągu 72 godzin”.

Garstka antymilitarystów i krytyków imperium z lewicy, takich jak Noam Chomsky, i z prawicy, takich jak Ron Paul, została uznana przez media za persona non grata. Liberałowie wycofali się zupełnie z przestrzeni publicznej i uprawiają butikowy aktywizm, gdzie kwestie klasy, kapitalizmu i militarizmu są wypierane przez cancel culture, adoracje wielokulturowości i politykę tożsamości. Poza tym kibicują wojnie na Ukrainie. Na początku wojny w Iraku przyłączyli się przynajmniej do znaczących protestów ulicznych. Ale Ukraina jest postrzegana jako najnowsza krucjata o wolność i demokrację przeciwko nowemu Hitlerowi. Neokonserwatyści i liberalni interwencjoniści jednogłośnie skandują za wojną. Biden mianował ludzi, których stosunek do wojny jądrowej jest przerażająco lekkomyślny, na stanowiska kierownicze w Pentagonie, Radzie Bezpieczeństwa Narodowego i w Departamencie Stanu.

Ponieważ wszystko, co jako USA robimy, to wojna, wszystkie proponowane rozwiązania są militarne. Ta swoista mongolizacja wojenna przyspiesza upadek, co ilustruje klęska militarna w Wietnamie i roztrwonienie 8 bilionów dolarów na wojny na

Bliskim Wschodzie. Dominuje przekonanie, jakoby wojna i sankcje miały sparaliżować Rosję, bogatą w gaz i zasoby naturalne. Wojna lub groźba wojny miałyby też ograniczyć rosnącą siłę gospodarczą i militarną Chin.

Są to obłąkańcze i niebezpieczne fantazje, snute przez klasę rządzącą, która oderwała się od rzeczywistości. Nie mogąc już uratować własnego społeczeństwa i gospodarki, dąży ona do zniszczenia światowych konkurentów, zwłaszcza Rosji i Chin. Kiedy militaryści sparaliżują Rosję, plan zakłada, że skoncentrują agresję militarną na regionie Indo-Pacyfiku i uzyskają dominację w basenie mórz, który Hillary Clinton, jeszcze jako sekretarz stanu, nazwała „Morzem Amerykańskim”.

Nie można mówić o wojnie, nie mówiąc o rynkach. Stany Zjednoczone, których tempo wzrostu gospodarczego spadło poniżej 2 proc., podczas gdy tempo wzrostu Chin wynosi 8,1 proc., postawiły na agresję militarną, aby wzmocnić swoją słabnącą gospodarkę. Jeśli USA zdołają odciąć dostawy rosyjskiego gazu do Europy, zmuszą Europejczyków do kupowania tego surowca w Stanach. Jednocześnie amerykańskie firmy chętnie zastąpiłyby Komunistyczną Partię Chin, nawet jeśli musiałyby to zrobić pod groźbą wojny, aby otworzyć nieskrępowany dostęp do chińskich rynków zbytu. Wojna z Chinami, gdyby wybuchła, zdewastowałaby gospodarkę chińską, amerykańską i światową, niszcząc wolny handel między krajami, tak jak to miało miejsce podczas pierwszej wojny światowej.

Waszyngton desperacko stara się budować sojusze wojskowe i gospodarcze, aby powstrzymać rosnące w siłę Chiny, których gospodarka do 2028 r. ma wyprzedzić gospodarkę Stanów Zjednoczonych, jak podaje brytyjskie Centrum Badań Ekonomicznych i Biznesowych (CEBR). Biały Dom oświadczył, że niedawna wizyta Bidena w Azji ma na celu wysłanie „mocnego sygnału” w stronę Pekinu i innych stolic, jak mógłby wyglądać świat, gdyby demokracje „wspólnie kształtowały reguły gry”. Dodatkowo urzędnicy Bidena zaprosili Koreę Południową i Japonię do udziału w szczycie NATO w Madrycie.

Amerykańska dominacja widzi się jednak w Europie coraz mniej. W Waszyngtonie pozory demokracji i rzekomego poszanowania praw człowieka i swobód obywatelskich są tak mocno nadszarpnięte, że odzyskanie dawnego nimbu ojczyzny wolności jest niemożliwe. Upadek gospodarczy, zważywszy, iż wskaźniki produkcji w Chinach są o 70 proc. wyższe niż w USA, jest nieodwracalny. Wojna to rozpaczliwa próba ratunku, stosowana przez imperia w agonii. Na ogół skutki tego są katastrofalne. „Wzrost znaczenia Aten i strach, jaki wzbudziły one w Sparcie, sprawiły, że wojna stała się nieunikniona” – pisze Tukidydes w „Wojnie peloponeskiej”. Zdecydowanie warto wspomnieć te słowa dziś.

Kluczowym elementem utrzymania stanu permanentnej wojny było utworzenie armii najemnej. Bez poborowych ciężar prowadzenia wojen spada na biednych, klasę robotniczą i rodziny wojskowych. Systematyka armii zawodowej pozwala uniknąć służby dzieciom klasy średniej, które przewodziły wietnamskiemu ruchowi antywojennemu. Chroni to wojsko przed wewnętrznymi buntami, które w czasie wojny wietnamskiej wybuchały wśród żołnierzy i zagrażały spójności sił zbrojnych. Taka organizacja wojska ogranicza jednak liczbę dostępnych żołnierzy uniemożliwiając tym samym realizację globalnych ambicji amerykańskich militarystów. By utrzymać lub zwiększyć liczebność wojsk w Iraku i Afganistanie, wojsko wprowadziło politykę „stop-loss”, arbitralnie przedłużając kontrakty na służbę czynną. Jednocześnie podjęto wysiłki zmierzające do zwiększenia liczby żołnierzy poprzez zatrudnianie prywatnych podwykonawców wojskowych, co zresztą również przyniosło znikome efekty. Zwiększenie liczebności wojsk nie doprowadziłoby wprawdzie do wygrania wojen w Iraku i Afganistanie, ale niewielki odsetek chętnych do służby wojskowej (tylko 7 proc. populacji USA to weterani) to pięta achillesowa militarystów.

„W konsekwencji problem zbyt wielu wojen i zbyt małej liczby żołnierzy wymyka się poważnej analizie” – pisze historyk i

emerytowany pułkownik armii Andrew Bacevich w książce „After the Apocalypse: America's Role in a World Transformed”. „Oczekiwania, że technologia wypełni tę lukę to knebel. Chodzi o to by nie zadawać najbardziej podstawowych pytań: czy Stany Zjednoczone dysponują środkami militarnymi, które pozwolą im zmusić przeciwników do poparcia twierdzenia jakoby Amerykanie byli bezapelacyjnie niezastąpionym narodem w historii świata? A jeśli odpowiedź brzmi „nie”, co sugerują wojny w Afganistanie i Iraku, to czy nie byłoby sensowne, aby Waszyngton odpowiednio ograniczył swoje ambicje?”.

To pytanie, jak zauważa Bacevich, jest „anatemą”. Amerykańscy stratedzy wojskowi wychodzą z założenia, że nadchodzące wojny nie będą w niczym przypominać tych obecnych czy historycznych. Inwestują więc w swoje wyobrażenia i teorie przyszłych wojen, pomijając lekcje z przeszłości i tym samym skazując imperium na kolejne fiaska.

Klasa polityczna w USA jest tak samo zakłamana jak generałowie. Nie chce zaakceptować wyłaniającego się świata wielobiegunowego i wyraźnego spadku potęgi amerykańskiej. Posługuje się przestarzałym językiem amerykańskiego eksepcjonalizmu i triumfalizmu, wierząc święcie, że ma prawo narzucać swoją wolę wszędzie i wszystkim jako przywódca „wolnego świata”. W swoim memorandum Defense Planning Guidance z 1992 r. podsekretarz obrony USA Paul Wolfowitz przekonywał, że Stany Zjednoczone muszą zadbać o to, by nie powstało już żadne konkurencyjne supermocarstwo. Stany Zjednoczone powinny więc wykorzystywać swoją przewagę militarną, aby bezustannie dominować i strzec jednobiegunowego świata. 19 lutego 1998 r. w programie NBC Today Show sekretarz stanu Madeleine Albright przedstawiła demokratyczną wersję tej doktryny jednobiegunowości. „Jeśli będziemy musieli użyć siły to użyjemy, i zrobimy to dlatego, że jesteśmy Amerykanami; jesteśmy narodem niezastąpionym” – powiedziała. „Stoimy wysoko i mamy o wiele skuteczniejszy wgląd w przyszłość niż inne kraje”.

Ta obłąkana wizja ustawicznej supremacji Stanów Zjednoczonych nie wspominając zaślepia całą klasę polityczną.

Opinia publiczna pogardza tą elitą architektów amerykańskiego imperializmu, tzw. Ivy League. Imperializm był powszechnie tolerowany dawniej, gdy projektował faktycznie potęgę USA za granicą i gdy przekładało się to na wzrost poziomu życia w kraju. Tolerowano go, gdy ograniczał się do tajnych interwencji w takich krajach, jak Iran, Gwatemala czy Indonezja. W Wietnamie wszystko się posypało. Kolejnym klęskom militarnym towarzyszył stały spadek poziomu życia, stagnacja płac, rozpadająca się infrastruktura, a w końcu seria reform gospodarczych i umów handlowych, które doprowadziły do deindustrializacji i pauperyzacji kraju.

Establishmentowi oligarchowie, obecnie zjednoczeni w Partii Demokratycznej, nie ufają, jak wiemy, Donaldowi Trumpowi. Popełnił on bowiem herezję, kwestionując świętość amerykańskiego imperium. Trump nazwał inwazję na Irak „wielką, grubą pomyłką”. Obiecywał, że „uchroni nas przed niekończącą się wojną”. Trump był wielokrotnie pytany o swoje relacje z Władimirem Putinem. Jeden z rozmówców powiedział mu, że Putin jest „zabójcą”. „Jest wielu zabójców” – odparł Trump. „Myślisz, że nasz kraj jest taki niewinny?”. Trump odważył się wypowiedzieć prawdę, która miała pozostać na zawsze niewypowiedziana: militaryści zaprzędali naród amerykański.

Legendarnemu Noamowi Chomsky’emu dostało się za to, że słusznie zauważył, iż Trump jest „jedynym mężem stanu”, który przedstawił „rozsądną” propozycję rozwiązania kryzysu rosyjsko-ukraińskiego. Proponowane rozwiązanie obejmowało „ułatwianie negocjacji zamiast ich podważania oraz dążenie do ustanowienia pewnego rodzaju równowagi w Europie (...), w której nie ma sojuszy wojskowych, lecz wzajemne gwarancje”.

Trump oczywiście nie jest żadną wielką nadzieją. Jest niezbyt skutecznym politykiem i kieruje się wyłącznie merkantylnymi przesłankami, by zaproponować poważne rozwiązania polityczne.

Wyzaczył wprowadzić harmonogram wycofania się z Afganistanu, ale zaostrzył też wojnę gospodarczą z Wenezuelą i przywrócił miażdżące sankcje wobec Kuby i Iranu, zniesione za czasów Obamy. Zwiększył budżet wojskowy. Podobno rozważał przeprowadzenie uderzenia rakietowego na Meksyk w celu „zniszczenia laboratoriów narkotykowych”. Przyznaje jednak, że niechęć do imperialnej niegospodarności odbija się szerokim echem wśród pozbawionej praw obywatelskich opinii publicznej, która ma pełne prawo brzydzić się zadowolonych z siebie mandarynów, którzy pogrążają nas w jednej wojnie za drugą.

57 Republikanów, którzy odmówili poparcia pakietu „pomocy” dla Ukrainy o wartości 40 miliardów dolarów, a także wielu z 19 projektów ustaw, które zawierały wcześniejszą „pomoc” dla Ukrainy w wysokości 13,6 miliarda dolarów, wywodzi się z szalonego, spiskowego świata Trumpa. Oni, podobnie jak Trump, powtarzają tę herezję. Ale im dłużej Biden i klasa rządząca będą przeznaczać środki na wojnę na nasz koszt, tym bardziej będą się umacniać ci protofaszyści.

Marjorie Taylor Greene podczas debaty parlamentarnej wokół pakietu dla Ukrainy powiedziała: „40 miliardów dolarów dla Ukrainy, a w sklepach brakuje żywności dla amerykańskich niemowląt”. „Gigantyczne sumy pieniędzy dla CIA i dla Ukrainy, ale żywności dla amerykańskich niemowląt nie ma. Przestańcie finansować wojny, oszustwa i pralnie pieniędzy” – dodała.

Demokrata Jamie Raskin natychmiast zaatakował Greene za upowszechnianie rosyjskiej propagandy.

Greene, podobnie jak Trump, mówiła prawdę. Prawdę, która znakomicie rezonuje z pozbawioną praw obywatelskich, zubożałą klasą pracowniczą. Sprzeciw wobec polityki permanentnej wojny powinien być inspirowany przez postępowe skrzydło Demokratów; gdy jednak to zaprzedało się kierownictwu w obawie przed utratą karier, gniew ludu wyrażają prawicowi radykałowie pokroju Greene. Green jest szalona, nie ma wątpliwości, ale Raskin i Demokraci propagują własną odmianę obłąkania. Za tę

burleskę przyjdzie nam zapłacić bardzo wysoką cenę.

Autorstwo: Chris Hedges

Tłumaczenie: Bojan Stanisławski

Źródło zagraniczne: ChrisHedges.substack.com

Źródło polskie: Strajk.eu